

NAD PUBLIKACJAMI HISTORYCZNYMI WIEDZY POWSZECHNEJ

Na lata 1967—1968 przypada kolejny etap realizacji planu wydawniczego WP. Stąd też i jego ocena musi nosić charakter wyłącznie fragmentaryczny, bo oparty na znajomości pozycji stanowiących w przeważającej mierze dalsze ciągi wydawnicze lub też reedycje z lat poprzednich. Pomocne mogą się tu okazać recenzje zamieszczane w tygodnikach oraz czasopismach naukowych. Warto zaznaczyć, iż te ostatnie coraz częściej „dostrzegają” prace popularno-naukowe, co wskazuje na wzrost znaczenia tego typu wydawnictw. Plan edytorski stanowi odzwierciedlenie aktualnego stanu zainteresowań czytelniczych (stymulowanych m. in. przez rocznice obchodzone w danych latach oraz problemy ideologii), jak również inicjatyw autorskich. Te ostatnie wiążą się z tematyką warsztatów badawczych, wyszukiwaną na użytek wydawnictwa. Jeśli dodamy do tego ambicje samej Redakcji, wyrażające się w realizacji szeroko zakrojonych serii, staje się rzeczą jasną, że plan wydawniczy stanowi wypadkową wielu różnorodnych czynników. Pod tym też kątem należy oceniać jego osiągnięcia i braki.

Wśród pozycji już wydanych, bądź też będących w druku lub pozostających w stadium konspektów, uderza zdecydowana przewaga serii i kompendiów nad indywidualnymi pozycjami nie należącymi do żadnego z cyklów. Na czoło tych ostatnich wysuwają się książki poświęcone dziejom Polski, że wymienimy frapującą zarys Jana Baszkiewicza o czasach Łokietka (*Polska czasów Łokietka*. Warszawa 1968); przynosi on nowatorską, znakomicie napisaną syntezę naszej wiedzy o historii, przede wszystkim politycznej, Polski przełomu wieku XIII na XIV. Autor umiał w zwartym i wyważonym skrócie ukazać najważniejsze elementy ówczesnego procesu historycznego. Z poprzednich edycji znane są dobrze prace Jerzego Holzera i Jana Molendy, poświęcone I wojnie światowej, książki Andrzeja Ajnenkiela na temat dziejów lat 1918—1926 oraz Marii Turlejskiej o okresie poprzedzającym wybuch I wojny światowej. Prace te złożą się na wielotomową historię naszego kraju, tworzoną piórami wielu autorów; stąd też bierze się nader zróżnicowany obraz przeszłości. Tomy te łączy jednak skupienie zainteresowań na dziejach politycznych; niektóre z nich jak zarysy Holzera—Molendy czy Turlejskiej noszą zresztą bardziej charakter monografii niż syntez i są wyraźnie adresowane do odbiorcy niejako specjalizującego się w dziejach najnowszych. Wszystkim książkom, które ukazały się w tej serii można zarzucić pewne odrywanie historii naszego kraju od tła powszechnoeuropejskiego. Brakowi temu ma zaradzić seria pod nazwą „Konfrontacje”, będąca w stadium prac wstępnych. Stanowi ona próbę ukazania miejsca Polski w Europie w różnych okresach historycznych, odpowiedzi na pytanie, jak przedstawiało się konto naszych osiągnięć i braków w ogólnym bilansie. Pierwszy tomik, wydany pod redakcją Tadeusza Manteuffla, poświęcony *Polsce pierwszych Piastów* (1968) zawiera wiele cennych informacji i trafnych spostrzeżeń na temat Polski IX—XI wieku, w za małym chyba jednak stopniu uwzględnia ów element porównawczy. Dzieje gospodarcze reprezentuje trudna w odbiorze praca Zbigniewa Landaua i Jerzego Tomaszewskiego, *Anonimowi władcy. Z dziejów kapitału obcego w Polsce (1918—1939)*. Warszawa 1968. Autorzy prze-

ładowali ją liczbami i szczegółami ściśle technicznymi (m. in. dokładnie omawiają wszystkie kombinacje finansowo-prawne, mające na celu ominięcie istniejących ustaw). Atrakcyjne tytuły rozdziałów oraz zachęcający wstęp nie mogą przesłonić faktu, iż książka nie jest w stanie zainteresować szerszego grona odbiorców.

Trzeba się wreszcie pogodzić z tym, iż pewne tematy nadają się wyłącznie na przedmiot studiów specjalistycznych i nie mogą być obiektem popularyzacji, niewiele zresztą w przypadku książki *Anonimowi władcy* różniącej się od prac ściśle naukowych. Zwłaszcza problematyka dziejów gospodarczych może być prezentowana wyłącznie w postaci studiów syntetycznych tym bardziej, iż liczne nieudane próby w tym zakresie nie zdołały wyrobić jej dostatecznego kredytu wśród czytelników. Z tej dziedziny ukazało się studium Bronisława Geremka i Kazimierza Piesowicza poświęcone historii gospodarczej doby średniowiecza (*Ludzie, towary, pieniądze*. Warszawa 1968), usiłujące przełamać niedobłą tradycję w tym zakresie.

Historii państwa towarzyszy konsekwentnie realizowana seria poświęcona dziejom jego stolicy w okresie walk o niepodległość, a więc w momencie gdy stawała się ona ośrodkiem oraz inicjatorem ruchu oporu. Do dawniejszych tomików Tadeusza Łepkowskiego i Stefana Kieniewicza doszedł tu zarys Andrzeja Zahorskiego na temat *Warszawy w powstaniu kościuszkowskim* (barwny, pisany przez wybitnego znawcę przedmiotu, który porusza się swobodnie w realiach ówczesnego życia oraz wznowienie cieszącej się wielką popularnością pracy Mariana M. Drozdowskiego o Warszawie w tragicznym wrześniu 1939 roku. Na pytanie, jak wyglądał w latach 1918—1939 jej dzień powszedni ma odpowiedzieć tenże autor w nowiej, przygotowanej do druku książce. Będzie to zresztą wyłom w milczącej umowie, zgodnie z którą WP zajmowała się dotąd Warszawą w jej najbardziej bohaterskich dniach, podczas gdy PIW koncentrował się na życiu codziennym stolicy, że wymienimy książki Karoliny Beylin, czy będące w druku studium Ireny Turnau o *Warszawie doby Oświecenia*. W serii Warszawa walcząca zabrakło jednak początkowego tomu na temat stolicy w dobie najazdu szwedzkiego. Mógłby on ukazać jej świetność oraz straty, jakie zadali naszej kulturze skandynawscy okupanci poprzez systematyczną grabież i dewastację dóbr kulturalnych. W jeszcze większym stopniu odczuwa się brak książki o Warszawie w dniach sierpniowego powstania. Jego ówczesne, przypadające na rok bieżący, należałoby uczcić taką właśnie pracą.

W wydawnictwach historycznych WP uderza nieobecność publikacji poświęconych dziejom obyczajów, kultury i ideologii, najszerzej pojętej. Częściowo tylko wypełnia istniejącą lukę historia kościoła, ukazująca m. in. wpływ tej instytucji na rozwój i upadek naszej kultury. Wyszedł już tom pierwszego pióra Jerzego Dowiata, ukazujący w syntetycznym skrócie (z małą liczbą elementów ściśle faktograficznych) dzieje tej organizacji do połowy XV wieku. W planach pozostaje analogiczne studium Wiesława Mysłka dla okresu najnowszego (1918—1945).

Warto by niewątpliwie pomyśleć o publikacji (zbiór szkiców? synteza?) poświęconej polskiemu wkładowi do kultury powszechnej. Pod tym względem rozporządzamy jedynie przedwojennymi, przestarzałymi syntezami Konecznego i Rejtingera. W trakcie prac wstępnych (dyskusja nad konspektem) znajduje się jednotomowy zarys dziejów obyczajów polskich na przestrzeni Tysiąclecia. Brak prac z zakresu historii kultury można w pewnej mierze przypisać faktowi, iż stosunkowo nieliczni badacze zajmują się tymi zagadnieniami.

Wydawnictwa historyczne WP charakteryzuje wyraźna przewaga tematyki dziejów ojczystych nad historią powszechną. Tej ostatniej dotyczą jedynie prace Heleny Zand i Mariana Zychowskiego na temat Wielkiej Rewolucji Październikowej oraz informacyjny zarys Wojciecha Morawieckiego o ONZ. Warto zaznaczyć, iż istniejące w tej dziedzinie zainteresowania czytelnicze dotyczą przede wszystkim nie ujęć monograficznych lecz syntez: ogłaszaniem tych ostatnich zajmują się zaś

inne wydawnictwa, że wymienimy PWN i PZWS jak również Książka i Wiedza, która wydaje wielotomowe dzieje powszechne, tłumaczone z rosyjskiego. Te same instytucje wydawnicze ogłaszają też syntezы poświęcone wielu okresom naszej historii. Nasuwa się pytanie, czy można mówić o jednolitej wizji historii Polski istniejącej w publikacjach WP? Jak się wydaje, mimo odmiennych indywidualności pisarskiej oraz rozbieżnych nieraz sądów badawczych, wszyscy autorzy przychylają się do poglądu, który nazwałbym optymistycznym spojrzeniem na nasze dzieje. Podkreślane są bowiem polskie osiągnięcia narodowe a klęski wywodzone raczej z przemocy zaborców niż niedolności przodków. Szczególnie wyraźnie widać to w serii poświęconej Warszawie; również i cykl esejów Bogusława Leńnodorskiego, zawarty w *Rozmowach z przeszłością* (1968) z wyraźnym optymizmem traktuje polski bilans narodowy. Tom ten, nie pozbawiony ambicji historiozoficznych, jest przeznaczony dla bardziej wyrobionego czytelnika, stawiającego sobie pytania na temat kierunku rozwojowego naszych dziejów (nowe, uzupełnione wydanie ukaże się w 1969 r.). Autor raz po raz dotyka problemu świadomości narodowej. Zagadnieniu temu warto by poświęcić oddzielny tom studiów ukazujący jej rozwój od czasów najdawniejszych do chwili obecnej. Szczególnie owocna mogłaby się tu okazać współpraca kilku autorów; pięknym precedensem jest tom rozpraw Stefana K. Kuczyńskiego, S. Russockiego i J. Willaume, *Barwy, godło i hymn Rzeczypospolitej* (nowe wydanie w przygotowaniu) — naszym zdaniem — jedna z najbardziej udanych pozycji WP.

Najslabiej uprawianą przez WP dziedzinę stanowi biografistyka: w omawianym planie reprezentuje ją tylko wydana już książka Zbigniewa Stankiewicza o Wielopolskim.

Na zakończenie przeglądu tytułowego wydawnictw warto wspomnieć, iż WP nie zapomina również o kompendiach, że przypomnimy kolejne wydania *Świata w przekroju* i zwłaszcza *Małego Słownika Historii Polski*, którego łączny dotąd nakład 200 tys. egzemplarzy świadczy o funkcji i roli tej imprezy. Zupełną nowość stanowi *Słownik biograficzny historii powszechnej* (do roku 1700), który kilka lat przeleżał w maszynopisie. Na skutek śmierci redaktora (był nim Kazimierz Lepszy) tom ten dopiero w 1968 r. ujrzał półki księgarskie. Dobór postaci jest tu niestety miejscami dość przypadkowy a ilość wierszy przydzielonych różnym osobom nie zawsze proporcjonalna do ich wagi. Pomiędzy już drobne usterki faktograficzne, do których w wydawnictwach tego typu zdążyliśmy się niestety przyzwyczaić. W trakcie druku jest od dawna przygotowywana *Chronologia dziejów powszechnych*, odpowiednik niejako wydanej przez LSW pracy Adama Tatomira, której trzy kolejne edycje rozeszły się całkowicie. W stadium wstępnym (listy haseł) znajduje się wreszcie *Mały słownik religioznawczy*. Opóźnienie w docieraniu wszystkich tych kompendiów do czytelnika nie zawsze sprzyja ich dojrzewaniu; szybkie postępy historiografii, zmiany kryterium doboru postaci i zdarzeń wymagają właściwie ciągłej przebudowy już istniejącego maszynopisu. Za opóźnienie to nie najmniej winę ponoszą autorzy: nie zawsze wypadki losowe, choć i to się zdarza, odrywają ich od pracy dla szerszego grona czytelników. Problem autorów stanowi zresztą osobne zagadnienie, które przysparza wiele kłopotów wszystkim redakcjom. WP unika w ich doborze, z nadmierną może ostrożnością, świeżych i mało jeszcze wypróbowanych piór lecz sięga na ogół do bardziej znanych na rynku wydawniczym, sprawdzonych zarówno w praktyce popularyzatorskiej jak pracy badawczej.

Autorzy WP rekrutują się przeważnie z wysokiej klasy badaczy: pracowników wyższych uczelni oraz instytutów badawczych Akademii. Książki tu ogłaszane nie są nigdy ich pierwszą większą pozycją drukowaną. Brak też wśród nich zawodowych popularyzatorów, którzy choć nigdy nie parali się samodzielną pracą badaw-

czą, mogą pisać na temat różnych epok tylko w oparciu o kilka przygodnie i po dyletancku dobranych monografii. Stanowią oni plagę niektórych serii wydawniczych. Andrzej Garlicki na marginesie rozważań dotyczących „Światowida” słusznie zauważył, że „w innych dziedzinach nauki możliwa jest popularyzacja czyniona przez ludzi spoza kręgu naukowców — w historii daje to rezultaty jak najgorsze. Genialni dyletanci, legitymujący się łatwością pisania o wszystkim przynoszą szkody trudne do odrobienia” (*Co nowego w historii*. „Kultura” nr 47 z 24 listopada 1968). Każdy z autorów WP korzysta z własnego warsztatu naukowego, co więcej kilka z omawianych prac nie posiada, jak dotąd, odpowiednika w fachowej literaturze przedmiotu. Mamy tu na myśli książki dotyczące najnowszej historii Polski, dla której w większości dziedzin nie posiadamy dotychczas ujęć o ambicjach syntetycznych, ogarniających całość dziejów Polski XX wieku. Książki wydawane pod firmą WP są pisane na ogół stylem dość jasnym, nie przeładowanym neologizmami. Z ogólnej poprawności wyróżniają się oryginalnością stylu książki B. Leśnodorskiego i A. Zahorskiego. Wszyscy autorzy unikają tak niepotrzebnej i drażniącej w innych wydawnictwach popularno-naukowych beletryzacji; fikcyjne dialogi, powieściowe wizje bohatera, wydumane opisy sytuacji nie mają (poza paroma zbędnymi fragmentami w książce o Wielopolskim), prawa obywatelstwa w omawianych publikacjach. Jest to ze wszech miar słuszne. Zacieranie granicy między powieścią historyczną a pracą popularno-naukową wydaje się zabiegiem równie szkodliwym, co niepotrzebnym, wynika zaś w dużym stopniu z braku zaufania do wyrobienia i poziomu odbiorcy. Szacunek dla niego winien się wyrażać przez równą, jak w pracach specjalistycznych, staranność wykonania, unikanie uproszczeń i nieścisłości, korzystanie z najnowszej literatury przedmiotu. Nie zawsze niestety tak bywa; słusznie zauważono, iż nieraz ktoś piszący monografię wąskospecjalistyczną bardziej dba o ścisłość i wierność niż autor zarysu czy szkicu przeznaczanego dla większego grona odbiorców. A przecież pierwsza rozchodzi się w nakładzie 500—1000 egz., druga zaś dziesięciokrotnie wyższym.

Od tej strony publikacjom WP niewiele można zarzucić: autorzy nie idą na łatwiznę. Zakładają istnienie u odbiorcy pewnej sumy wiadomości i ambicji intelektualnych oraz wierzą, iż w razie potrzeby sięgnie on do wydanych m. in. przez WP słowników i encyklopedii. W przeszłość odeszła dawna wizja czytelnika, który każdą niemal książkę miał jakoby traktować jako pierwszą w życiu i w niej samej winien był znaleźć wyjaśnienie wszystkich trudniejszych terminów i zwrotów. Tam jednak, gdzie prace dotyczą kwestii bardziej szczegółowych, zadbano o dołączenie do nich słowników biograficznych osób, jak to widzimy u Marii Turlejskiej, czy słownika organizacji, który znajdujemy w dziele Jerzego Holzera — Jana Molendy. Z tym wszystkim dbałość o należyłą oprawę edytorską doprowadza czasami do całkowitego zatarcia na tym odcinku różnicy między pracą ściśle naukową a popularnonaukową. Pomijamy już indeksy osób: wystarczy jednak wskazać na wciąż rosnącą liczbę przypisów, która np. w III wydaniu książki M. Turlejskiej dochodzi do 668, podobnie przedstawia się sprawa u M. M. Drozdowskiego. Drobną to zresztą usterka, łatwa do usunięcia w następnych wydaniach. Bardziej istotny jest fakt, że niektórzy autorzy przemawiają do czytelnika *ex cathedra*, przedstawiając mu naukę o przeszłości jako zbiór gotowych pewników. Przemilczają zaś to, iż wiedza samego historyka jest dość często niepełna a przypuszczenia dyskusyjne. W niektórych publikacjach przydałoby się wyraźniejsze sygnalizowanie trudności, które napotykał sam autor oraz ukazywanie białych plam na mapie naszej historiografii. A jest ich jeszcze bez wątpienia dość dużo. Ideałem chyba byłaby książka popularnonaukowa zbudowana według modelu dobrej powieści dedektywistycznej, mianowicie tak grupująca materiał, aby czytelnik mógł niemal samodzielnie, bez pomocy „ustawiającego” wstępu lub podsumowania, wyprowadzić odpowiednie wnio-

ski. Przydałoby się również staranniejsze oczyszczenie obu słowników (historii polskiej i powszechnej) z nalotów frazeologii i werbalizmu, jak również staranniejsze korekty.

Wypowiadając się za pełną niezależnością sądów autorskich trudno jednak negować konieczność ingerencji Redakcji w kompozycję tekstu. Rozpychanie go, szczególnie przy następnych wydaniach, wciąż nowymi szczegółami szkodzi czytelności jak to widzimy w bardzo ciekawej, ale dość chaotycznie skomponowanej książce Marii Turlejskiej.

Jak przedstawia się czytelnik omawianych publikacji WP? Jest nim przede wszystkim inteligent: urzędnik, inżynier czy lekarz interesujący się w sposób amatorski naszą przeszłością. Rosnącym wymaganiom i potrzebom tego czytelnika mają sprostać nowe, coraz wyższe formy popularyzacji z esejami Leśnodorskiego na czele. Czytelnikiem tym jest także student wyższych uczelni, który — jak wykazuje praktyka — historię najnowszą Polski poznaje dość często z zarysów Holzera-Molendy, Anjenkiela czy Turlejskiej. Tu więc WP wyreżca po trosze — mimo woli zresztą — producentów skryptów uniwersyteckich. Z jej publikacji korzystają również członkowie kółek historycznych, działających w szkołach średnich.

Istnieje wreszcie najbliższy chyba sercu WP odbiorca, mianowicie szeroka rzesza prelegentów TWP. Tym ostatnim potrzebna, ba, wręcz niezbędna, jest szeroka, obficie udokumentowana wiedza o przeszłości: daty, nazwiska, fakty oraz ich oceny. Tego wszystkiego będą szukać w wydawnictwach WP, stąd też wywodzi się popularność różnego rodzaju chronologii lub słowników, w których szybko i łatwo można znaleźć potrzebne informacje. Gorzej już przebiega kwerenda w coraz grubszych monografiach WP nie zawsze zaopatrzonych w indeksy osób (nb. tego typu pomoc winna stać się w nich regułą). Nasuwa się jednak wrażenie, iż wielu prelegentom bardziej pomocne byłyby cieńsze tomiki, obejmujące za to szerszą chronologicznie i tematycznie grupę zagadnień, a więc stanowiące odmianę francuskiego *Que-sais-je* lub polskiej *Omegi*.

Nie należy jednak przeceniać znaczenia żywego słowa w procesie zarówno nauczania jak popularyzacji wiedzy. Józef Chałasiński w wywiadzie udzielonym „Miesięcznikowi Literackiemu” (nr 10 za rok 1968) stwierdził wręcz, że „wykład nie jest już dziś nowocześniejszym środkiem dydaktycznym”. Również i ciężar popularyzacji kultury przesuwają się coraz wyraźniej z tradycyjnie pojętych odczytów na radio, telewizję, książkę i prasę a więc na środki masowego przekazu. Na odczyt, wyznaczony nieraz o niedogodnej porze, trzeba się specjalnie wybrać. Mało kto z prelegentów, zapraszanych usilnie z wielkiego miasta do mniejszych ośrodków, nie zetknął się z sytuacją, iż nikt nie stawił się na prelekcję. Bywa i tak, że salę w ostatniej chwili zapełnia się pod przymusem spędzoną dziaćwą szkolną; pisano o tym na łamach „Życia Literackiego”, które w ubiegłym roku zamieściło wiele ciekawych wypowiedzi. Nie brakuje wśród nich napełnionych goryczą zwierzeń owych zawiadzionych prelegentów.

W dobie obecnej, coraz większego znaczenia nabierają środki masowego przekazu; odbiornik radiowy czy telewizyjny ma się dość często w domu, do książki i prasy można powrócić w dowolnym momencie, by w spokoju przestudiować interesujący artykuł. Żywe słowo odgrywa zaś nieporównanie mniejszą rolę niż przed stu laty czy nawet i pół wiekiem, kiedy to stanowiło ono na wsi i w małym miasteczku zasadniczą nieraz formę wiedzy o szerokim świecie. Telewizja upowszechnia nie tylko modę, ale i pewien wzorzec coraz bardziej atrakcyjnej popularyzacji. Mówi się, iż świetny teatr telewizyjny położył wiele trup amatorskich, ale przecież i prelekcje wygłaszane przez wirtuozów słowa sprawiają, iż słuchacze stają się bardziej wymagający wobec przygodnych prelegentów. Trudno jest np. laikowi wygłaszać odczyt z historii sztuki przed ludźmi, którzy oglądali prelekcje Wiktora

Zina. Pamiętajmy zaś, iż zawodowi prelegenci TWP, prowadzący nieraz odczyty z różnych dziedzin wiedzy, nie bardzo mają czas na poszerzanie swych wiadomości.

Zapominamy wreszcie o jednym: odczyt to nie tylko samo wygłoszenie referatu, ale i dyskusja po nim. Padają często pytania nie związane bezpośrednio z tematem prelekcji. Odpowiedzieć może na nie fachowiec, nie ktoś podejmujący się prelekcji dla wypełnienia luki w budżecie. Nic więc dziwnego, iż ludzie zamiast nudnego odczytu oraz mętnych wyjaśnień wolą interesującą książkę, napisaną przez wytrawnego specjalistę. Trudno im się zresztą dziwić; należy zrozumieć, iż model upowszechnienia wiedzy reprezentowany przez bohaterów Żeromskiego, który jeździli po wsiach z przezroczami a za konkurenta mogli mieć jedynie księdza proboszcza, odchodzi bezpowrotnie w przeszłość. Jediną sensowną i mającą przyszłość przed sobą formą odczytów są prelekcje dla małej grupy zainteresowanych osób, wygłaszane na ten konkretny temat, którym sami wyrazili zainteresowanie.

W tej sytuacji wzrasta niepomierne rola wydawnictw WP; naszym zdaniem dostarcza ono książek nie tyle prelegentom, co ich słuchaczom jak i odbiorcom wszystkich środków masowego przekazu, szerokim rzeszom polskiej inteligencji. Bo fikcją jest przypuszczenie, by z publikacji tych korzystali ludzie z ukończoną szkołą podstawową. Dla tego typu czytelników należałoby pomyśleć o innego rodzaju wydawnictwie. Podobnie przedstawia się sprawa z mniej zdolnymi uczniami szkoły średniej. Zerwijmy tu z mitem książki popularnonaukowej typu „omnibusu”, tej samej książki czytanej rzekomo przez ludzi o różnych stopniach wykształcenia i rozmaitym poziomie umysłowym. Winny istnieć różne stopnie popularyzacji, trafiające do rozmaitych kręgów odbiorców.

W obecnej sytuacji, jaka kształtuje się na terenie naszej i nie tylko naszej humanistyki, samo wyodrębnianie gatunku książki popularnonaukowej zaczyna trącić powoli myszką. Duża ilość odsyłaczy nie czyni bowiem książki naukową, podobnie jak ich brak nie przesądza o jej popularnonaukowym charakterze. Istnieją studia, w których właściwy tekst cieknie jedynie wąską strugą u góry strony; resztę zajmują przypisy. A mimo to nie wnoszą one często nic nowego lecz są jedynie mało wartościowymi kompilacjami. Istotne jest chyba, czy dana praca przynosi samodzielne, oryginalne ujęcie pewnych zagadnień badawczych. W dobie odwrotu od syntez właśnie książki o większym oddechu naukowym, określane jako popularnonaukowe, stwarzają sposobność do podejmowania szerszej problematyki badawczej. Nie jest chyba rzeczą przypadku, że tylko pod firmą Biblioteki Historycznej WP historycy polscy zdobyli się np. na danie całościowego obrazu dziejów naszego kraju w latach I wojny światowej. Akademicka *Historia Polski* przyniesie nam ten obraz dopiero za dobrych kilka lat.

Zawsze będą istnieć specjalistyczne monografie, choć nie muszą być one pisane w sposób hermetyczny i niezrozumiały. Ale jeśli chodzi o książki dotyczące problematyki bardziej ogólnej, zawierające syntetyczne widzenie przeszłości, to różnica między pracami popularnonaukowymi a naukowymi będzie się chyba coraz bardziej zacieśniać. O sprawach interesujących szerszy ogół odbiorców winno się pisać w sposób dla nich zrozumiały, niezależnie od tego, czy opieramy się głównie o studia swoich poprzedników, czy też dajemy nowe, w pełni oryginalne ujęcie tego zagadnienia. Nie znaczy to jednak, aby wszyscy byli zobowiązani do pisania tych właśnie prac. Zaciąg piór do wielkiej armii upowszechniania wiedzy nie może się odbywać na drodze przymusowej rekrutacji lecz tylko ochotniczego werbunku. Nie każdy ma ku temu odpowiedni talent, podobnie jak trudno wymagać od Parnickiego, by pisał równie przystępnie jak Bunsch czy Rymkiewicz. Popularyzacja nieumiejętna graniczy zaś ze szkodnictwem społecznym. Nie darmo jeden z działaczy rewolucyjnych miał powiedzieć: nuda to kontrrewolucja. Nic zaś łatwiejszego jak zanudzić czytel-

nika zmniejszając w ten sposób istniejące niewątpliwie zainteresowanie naszą historią.

Wydawnictwa historyczne WP zaspokajają je wydatniej i na wyższym poziomie niż inne bratnie firmy, specjalizujące się również w popularyzacji, że wymienimy biblioteczkę „Światowida” czy „Niezapominajki”. WP bije je również staranniejszą oprawą graficzną; dobremu papierowi towarzyszą coraz lepiej i ciekawiej dobierane ilustracje. Także i dysponenda wydaje się świadczyć, że publikacje Wiedzy Powszechnej cieszą się zasłużonym powodzeniem.